jutrzenka

dodatek tygodniowy „expresu zagłębia" dla dzieci i młodzieży
pod redakcją czarnego wujaszka

Rok III. Sosnowiec, niedziela 29 maja 1938 r. Nr. 38

Tchórz

Do trzeciej klasy przybył od półrocza „nowicjusz". Naprawdę nazywał się Piotruś—ale ponieważ Władek — „Wąż" nazwał go nowicjuszem — tak już zostało.

Władek był największym, najsilniejszym chłopcem w klasie, a że potrafił się wykręcić z każdej kłopotliwej sytuacji — których sporo się zdarzało—nazwano go „Wężem". „Wąż" planował i kierował każdą zabawą i słuchali go wszyscy—przecież był największy w klasie.

Tylko ten mały nowicjusz — zawsze stał na przerwie z boku—przypatrywał się zabawom—ale trzymał się z daleka.

— Cóż on sobie myśli? Ten malec — Władek kiwał nieraz na niego, a on nic.

Bardzo to gniewało „Węża". Parę tygodni już minęło, a nowicjusz do żadnej zabawy nie dał się wciągnąć

— To tchórz — wytłumaczył Władek chłopcom — boi się, żeby go kto przy zabawie nie potrącił. Już ja coś wymyślę, zrobię z nim próbę i zobaczycie wtedy jaki to tchórz.

— Tchórz, tchórz — powtarzali chłopcy — ale nowicjusz choć słyszał i widać było, że mu to nie było przyjemne — udawał, że nie słyszy.

— Poskarży pani —mówił „Wąż" — zobaczycie — ale już ja mu coś za to wymyślę!

Nowicjusz nie poskarżył, ale w niczym się nie zmienił.

W kącie podwórza stała huśtawka. Na tej huśtawce postanowił „Wąż" wziąć tchórza na egzamin.

— Wszyscy będziemy próbować, kto najwyżej potrafi, to i on będzie musiał, a jeżeli nie zechce, no, to zobaczy! Tchórzem zostanie do końca.

Wszyscy się huśtali — jeden po drugim — i na stojąco i na siedząco — wyżej i jeszcze wyżej.

A nowicjusz tylko patrzył.

Przystąpił do niego Władek.

— No, pokaż, co umiesz! — A może stchórzysz — ty tchórzu?!

A nowicjusz, jakby to o nic poważnego nie chodziło — przybladł tylko trochę i odpowiedział spokojnie:

— Niebędę się huśtać.

— Nawet go nie uderzy za tego „tchórza" — szemrali chłopcy.

A Władek skoczył nagle, złapał małą Wawerską z pierwszej klasy, co stała obok — w jednej chwili

Wsadził ... na huśtawkę i rozbujał wysoko.

— Patrz! Ty tchórzu! — dziewczyna się huśta, a ty się boisz i podbijał huśtawkę coraz wyżej.

Patrzyl wszyscy na tego „tchórza" i zaśmiewali się w głos i nie słyszeli wcale, że mała krzyczy — i nie widzieli, że twarzyczka jej co raz bledsza, a ręce omdlałe obsuneja się ze sznurów.

Wtem, ten wyśmiewany „tchórz" jednym skokiem roztrącił gromadkę zdumionych chłopców — drugim odbił się w górę i zawisnął rękami na bujającej się desce, a nogami zarył się w ziemię. Zahamował pęd huśtawki.

W następnej chwili zdjął obsuwającą się z deski dziewczynkę i położył na ziemię, a sam — chłopcy ze zdumienia ruszyć się nie mogli — odsunął się obok niej dysząc ciężko. Szepnął „wody" i wskazał na bledziutką twarz małej.

Poleciał któryś po wodę. Przyszła pani i zaczęło się wypytywanie.

„Wąś" już boczkiem wysuwał się z gromady, by wykręcić się jak zwykle, że niby on z tym nie miał nic wspólnego, gdy nagle zatrzymał się.

— Co on tam mówi?

— To nic — proszę pani — tylko ja skoczyłem — przerywanym głosem tłumaczył „tchórz", bo się huśtawka zanadto rozbujała — i bałem się, że Wawerska spadnie, a ona też się zlękła—i... O już jej nic nie jest, proszę pani! — I ja już, też zaraz... tylko, że mam chore serce — i z tego...

Popatrzyli chłopcy na Władka. Spuścił oczy, ale gdy wszyscy wracali do klasy — on podtrzymywał silnie chwiejącego się Piotrusia. Pa wkoło, jakby chciał powiedzieć:

— No—Niech go teraz kto tknie!



HISTORIA MARCEPANOWEGO GRZYBKA HELCI

Helcia dostała na imieniny między innymi podarunkami, od cioci Mani śliczny duży grzybek z marcepanu. Bardzo się nim dziewczynka ucieszyła, ale że Helcia była łakoma ... postanowiła grzybek marcepanowy zjeść dopiero wieczorem, gdy wszyscy będą spali.

Raz najem się porządnie marcepanu, tak rzadko go jem. Taki duży grzybek, ale gdybym go podzieliła, to przecież by dla mnie prawie nic nie zostało.

Tak rozmyślała Helcia.

Grzybek więc stanął na stoliku obok jej łóżeczka. Leżąc już wieczorem w łóżeczku ujrzała nagle Helcia jak z grzybka wyskoczyło dwóch karzełków, którzy zbliżywszy się do dziewczynki, pokornie jej się ukłonili i pierwszy z nich z długą siwą brodą tak przemówił:

— Idziemy do ciebie z wielką prośbą, mała Helciu.

— Jaką? — zapytała trochę przestraszona dziewczynka.

— Zamierzasz zjeść ten grzybek, który dostałaś na imieniny, ale pewno nie wiesz o tym, że to nasz domek, a gdy go zjesz, nie będziemy mieli gdzie mieszkać. Więc prosimy cię, nie jedz go.

Dużo mnie to obchodzi — rzekła do nich Helcia, mam na niego wielki apetyt.

— Zlituj się nad nami — próbował jeszcze prosić krasnoludek.

— Nie, nie zlituję się! nic mnie nie obchodzicie, więc idźcie nareszcie stąd.

— Więc dobrze odezwał się nagle drugi karzełek, cały ubrany na czerwono — za to, że nie chciałaś się nad nawi zlitować zostaniesz ukarana, za swoje łakomstwo.

I obaj zniknęli natychmiast.

Helcia obudziła się w swoim łóżeczku. W pokoiku było już jasno. — Dziewczynka spojrzała na stolik, gdzie wczoraj stał marcepanowy grzybek, lecz o dziwo, grzybka ani śladu. Cóż się z nim stało? czyżby Helcia go zjadła? ale nie, bo przecież nim zdążyła go zjeść, usnęła.

Nagle Helcia usłyszaał jakiś płacz w swoim pokoju. Wstała z łóżka i ujrzała skuloną w kąciku pokoju swoją małą siostrzyczkę Basię.

— Czego płaczesz, Basiuniu? — zapytała.

— Ach, Helciu, czy mi przebaczysz? powiedz — łkała Basia.

— Przebaczę, tylko powiedz, co jest.

— Helciu, ja zjadłam twój grzybek marcepanowy. Przez dwa dni ślinkę na niego łykałam i dziś już nie mogłam wytrzymać, wstałam rano i gdyś ty spała jeszcze, zjadłam go i teraz strasznie się boję, że będziesz się na mnie gniewała. Żałuję bardzo swego łakomstwa, czy przebaczysz mi, Helciu?

Helcia zamyśliła się. Tak, to napewno krasnoludki ją ukarały za jej brak litości dla nich. Rzekła więc do Basi:

— Nie płacz, Basiu. nic nie szkodzi, żeś zjadła mój grzybek marcepanowy, to ja zostałam przez to ukarana za swoje łakomstwo, bo nie chciałam się z Tobą podzielić. A myślę, że i krasnoludki przebaczą ci to, żeś zjadła ich domek, bo ja również tobie przebaczam.

To mówiąc uścisnęła siostrzyczkę serdecznie, obiecując sobie poprawić się z swego łakomstwa i dzielić się z każdym swoimi słodyczami.

Kwitnący sad

Mały domek w sadzie stał,
a sad całą zimę spał,
i pąkami się zieleni,
w jedną nockę się odmienił

zaraz będzie kwiaty miał.
Zakwitł sad nasz niby cud.
no i te przy płotku grusze,
i jabłonka — ta u wrót,
wonnym kwieciem hojnie prószą
Pszczoły zeń zbierają miód.

Niby biały śnieżek spadł,
jasny, pełen czaru kwiat.
A ja sobie w moim domu,
marzę cicho, pokryjomu,
że to właśnie z bajki świat.

Zaczarował mały sad,
jakiś krasnoludków skrzat.
Chodzę wśród tej bajki żywej,
jak królewna urodziwa,
zaklęta przez tysiąc lat.

J. K.

Zuch-chłopiec

— Dziewczynka ocalała, nie jej się nie stało, ale ten biedny chłopiec ma złamaną nogę. Trzeba go zabrać do szpitala.

Tak powiedział lekarz pogotowia ratunkowego po obejrzeniu nogi Janka.

— Ale to zuch chłopak, panie doktorze — rzekł policjant — który stał na swym posterunku. Ja widziałem, jak to się stało. Ta mała przebiegała przez jezdnię, nie oglądając się wcale. Wołałem za nią, ale nic nie pomogło. I już, już samochód nadjeżdżał wprost na nią. Aż mi się niedobrze zrobiło, bo ot nowa ofiara nieostrożności. W ostatniej prawie sekundzie wyskoczył ten oto chłopiec i przyciągnął do siebie dziewczynkę. Sam nie zdążył uciec z drogi samochodowi.

Gromadka ludzi stanęła, przysłuchując się temu opowiadaniu. Każdy ze współczuciem patrzał na chłopca. Karetka pogotowia ruszyła, zabierając biednego Jasia.

Dzięki natychmiastowej pomocy, Janek szybko wracał do zdrowia. Noga zrastała się prawdłowo i była nadzieja, że niedługo będzie mógł wrócić do domu. W szpitalu wszyscy polubili chłpoca i nazywali go „małym bohaterem". Rodzice Janka bardzo się zmartwili, gdy się dowiedzieli o tym wypadku. Janek przepraszał ich za zrobiony im kłopot, lecz tłumaczył się, że inaczej nie mógł postąpić.

Pewnego dnia, razem z doktorem, weszli do sali państwo z dziewczynką.

— Oto jest nasz bohater — powiedział doktór, gdy podeszli do łóżka, na którym leżał Janek.

— Tak, tak, mamusiu, ja poznaję, to jest ten sam chłopiec, który mnie wyratował! — zawołała dziewczynka.

Nieznajomy pan uściskał serdecznie Janka i dziękował mu wraz ze swą żoną, że ocalił im córeczkę.

— Jak się nazywasz? Gdzie mieszkasz i co porabiasz, kochany chłopcze? — zapytywali państwo onieśmielonego Jasia.

Chłopiec wzruszony dobrocią nieznajomych mu osób, opowiedział że jest synem biednych rodziców. Chodzi do szkoły jeszcze ale w tym roku już ją ukończy.

— A co zamyślasz dalej robić, czego się będziesz uczyć?

— Jeszcze nie wiem, proszę pana. Chciałbym być lotnikiem, ale to trzeba długo jeszcze się uczyć, a moi rodzice są biedni, nie mogą mnie kształcić.

— Nie martw się Janku. Pomówimy z twymi rodzicami i jeśli się zgodzą to pomożemy ci, aby spełniły się twoje marzenia.

Zaczęło się więc inne życie Janka. Dobrzy państwo byli zamożni, mieli tylko tę jedną córeczkę Jedwinię. Zajęli się więc Jankiem, jakby synem. Janek uczył się pilnie i wytrwale, dążąc do wytkniętego celu. I został wkońcu lotnikiem. Rodzice i opiekuniwie dumni byli z niego, a Jadwinia zawsze pamiętając o jego szlachetnym czynie postanowiła zostać jego żoną.

NAUCZYCIEL MEGO DZIADKA

HENRYK SIENKIEWICZ.

Wszyscy moi znajomi to powtarzają, a zresztą sam o tym wiem dobrze, że za dużo się chwalę! Wiem, że to wada szkaradna, zwalczam ją też w sobie wszelkimi siłami i czasem udaje się zwycięsko (o! znów!) ją pokonać. Ale bywają jednak takie wypadki, że ani rusz, od chwalenia powstrzymać się nie mogę... Na przykład teraz: już bardzo dawno chciałem pochwalić się przed Wam—Czytelnicy „małego abc“, że...

Henryk Sienkiewicz, ten sam, co napisał „Trylogię Sienkiewicza“ i „Krzyżaków“, i „Starego sługę“, i w „Pustyni i w puszczy“ i t. d., i t. d., ten właśnie Henryk Sienkiewicz w czasie swych studiów, był nauczycielem—korepetytorem... no, nie moim coprawda (jestem zbyt młody), ale mojego dziadka...

Długie prowadziliśmy rozmowy z dziadkiem, w którego domu wychowywałem się i którego staraniom i pomocy finansowej zawdzięczam skończenie gimnazjum. Z tego, co mi dziadziuś o swej przyjaźni z Sienkiewiczem opowiadał (mam list pisany przez Sienkiewicza do mego dziadka, zaczynający się od słów: „Kochany Kaziu!“) — zostały w pamięci dwa następujące zdarzenia.

Pewnego wieczoru, gdy Sienkiewicz po kolacji zaczął odczytywać jakiś swój utwór mym pradziadków [illegible]w swoich nie zwracając uwagi, mój dziadziuś, wówczas siedmioletni, zdaje się, młodzieniec, cicho wyszeptał do swego brata ciotecznego, rówieśnika współucznia:

— Broniś! Idziemy spać. Pan Henryk zaczytany, nieprędko skończy, a tymczasem rozbierzemy się „raz-dwa“ i lekcja wieczorna nam się upiecze.

Dziadek Broniś z zapałem przyjął propozycję i w kilka chwil potem, kiedy Sienkiewicz, skończywszy czytanie, zwrócił się w stronę chłopców i — „do roboty“ zawołał — odpowiedziała mu cisza.

— A gdzież to chłopcy? — zapytał służącego.

— O! panicze dawno już w łóżkach! Chrapią, aż miło!

— — — — — — —

— Dobrze... Nie budźcie...

Nazajutrz coś o czwartej, czy piątej rano — stry sługa budzi chłopców

— Panicze, wstawać! Pan Henryk prosi na lekcję!

Spojrzał dziadek Kazik na dziadka Bronisia, zerknął dziadek Broniś na dziadka Kazia, lecz nie było innej rady, trzeba było wstać, ubrać się i pomaszerować z biciem serca do pokoju, gdzie za stołem siedział już nauczyciel.

Wstyd się ogromnie zrobiło chłopcom i nie śmiejąc w oczy spojrzeć kochanemu, lecz stanowczemu bardzo panu Henrykowi, przysiedli na brzeżku krzeseł.

— Kazio mi powie, co mieliście na lekcję dzisiejszą zadane, —rzekł nauczyciel. Dosłownie — spokojnie, jak gdyby nigdy nic, zapytał, co jest zadane. Ani słówkiem nie wspomniał o wczorajszym wypadku, tylko najspokojniej w świecie zabrał się do przepytywania lekcji.

Czy wiecie, że od tej pory chłopcy uczyli się z zapałem i bacznie przestrzegali godzin nauki.

Kiedyś znowu, gdy u Sienkiewicza było kilku kolegów, a w całym domu ze starszych osób były tylko trzy babcie-rezydentki—dzieci wpadły na niedowcipny zresztą pomysł, urządzenia pod drzwiami pana Henryka „kociej muzyki". Uzbrojone w patelnie, jakieś warząchwie, czy butelki, całe to bractwo maszeruje pod drzwi pokoju pana Sienkiewicza.

Jedno daje znak, robi się piekielny hałas! Wpadają przerażone babcie, dzieci w nogi...

Sienkiewicz słysząc zamieszanie, jakiś nieokreślony jazgot, otwiera drzwi. Za nim wychylają głowy koledzy. Cóż za widok! Na progu z patelniami, z warząchwiami w drżących dłoniach — zakłopotane babcie...

Długi czas opowiadano w okolicy, jak to babcie urządzały „kocią muzykę" panu Henrykowi. Tę ostatnią historię opowiadała mi siostra dziadziusia, ale dziadziuś gorąco zaprzeczał. Może nie pamiętał, a może nie brał w tym udziału...

Adam Dubowski.

ZADANIE.



— Piotrusiu, gdyby ojciec twój oszczędzał miesięcznie po 20 złotych, ile miałby w ciągu roku?

— Radioaparat i rower dla mnie

O MAJOWYM TRA-LI-LA

Jedzie pan Damazy i panna Aniela przez pola i gaje, wśród kwiatów i ziela. Mazowiecka bryczka w piach drogi zapada, Aniela w głos śpiewa, pan Damazy gada:

— Mam ja piękny dwór: z jednej strony — pola, z drugiej strony — bór. Rzeka polem płynie, szumi, rybu pluszczą, na dworskich dachówkach gołębie groch łuszczą. Koniki w zagrodzie rżą, wstrząsają grzywami. Mam w domu dostatek i jestem szczęśliwy. Wyjdę na podwórze, głaszczę końskie szyje, zajrzę do obórki — i tak sobie żyję. A panny Anieli, proszę, co za los?

A Aniela na to:

— Ja mam śliczny głos. Tra-li-lilim, tra-la-la-lam — i więcej nic. A dosyć mam. Majowy dźwięk, majowy ton starczy za talar, starczy za dom. Piosenka moja z ptaszków

świerkiem zawiśnie w górze, ponad świerkiem, piosenka moja z rybeczkami zaszumi w rzece pod falami. Zafurczy jak złocisty bąk nad konikami, pośród łąk. Zakląska, świszcze z słowikami nad majowymi jaśmina. Niechajże miły pan posłucha tonami. Piosenka z gołębiami gru... Tra-li-li-lim, Tra-li-li lom... Czyż głos ten nie wart tylę, co dom?

Słucha Damazy. Skrzypi bryka. Myśli Damazy o słowikach. O pełnych dźwięków gardełeczkach i o wiosennych pioseneczkach. Prawda: niż bogatego los — piękniejszy świata dźwięczny głos. Majowy dźwięk, majowy ton starczy za talar, starczy za dom. Słowiki, dzierzby, dzięcioły wiew. Nuci Damazy: wciąż śpiew i świeży poświst, cie...

— Tra-la-li... Coś mi się marzy, coś się śni... Że choćbym stracił dostatek, dom — zostanie zawsze: tra-li-lom. I dźwięk wciąż płynie poprzez gaj w kwiatowy świat, w bezpański maj. Szczęściem majowym dy kwiat, i ludzkie serca, i ludzki wypełni świat, każdego ptaka, każdom zwiewne, majowe: tra-li-lom...

H. Januszewska.



PIĘCIORACZKI KANADYJSKIE ZE SWYM OPIEKUNEM DR. DAFOE.

„entliczki-pętliczki”

DOBRE ROZWIĄZANIA nadesłali:

Lilusia Lejbrżanka z Sosnowca, Drożdżówna Maria, Jacek Trznadel z Zawiercia, Czerwony Kapturek, Marysieńka — figlarka z Bę-

dzina, Danusia Widłakówna z Będzina, Rysio z Dąbrowy, Wesoły Stasio z Sosnowca, Kasia i Ludwika z Zawiercia, Kizio z Olkusza, Hela Makura z Będzina, Filut z Dąbrowy, Janek z Sosnowca, Stasiu i Dyzio z Ząbkowic, Aniela z Olkusza i Marysia z Kielc.

NAGRODY OTRZYMALI:

Drożdżówna Maria, Jacek Trznadel, Janek z Sosnowca, Aniela z Olkusza i Wesoły Stasio z Sosnowca, Dyzio z Ząbkowic.

ZAGADKA I.

Pędzi nad ziemią
bez konia, bez strzemion.
Gwiżdże — nie umie śpiewać.
Umie na łące

przegonić zające
i listki zrywać na drzewach.

——oOo——

KWADRAT MAGICZNY.



Znaleźć trzy wyrazy pięcioliterowe, które można czytać poziomo i pionowo.

1) Pogoda burzliwa. 2) Worek z pieniędzmi. 3) Uprząż końska.

ZAGADKA II.

Wąsy ma,
skrzydła dwa —
o tym każdy wie.
Lecz pod skrzydłami,
zobaczcie sami:
nóg ma więcej niż dwie.
Oj, lata, lata,
siada na kwiatach.
A jak się zwie?

ŁAMIGŁÓWKA.

Wpisać 9 pięcioliterowych wyrazów o podanym niżej znaczeniu. — Kratki niżej oznaczone dadzą aktualne rozwiązanie.



1) Pałac inaczej. 2) Ptak kurowaty. 3) Owad dwuskrzydłowy. 4) Główne miasto Attyki. 5) Zbocza gór wspak. 6) Po Wołdze największa rzeka w Europie. 7) Inaczej zjazdy 8 Litera fonetycznie. 9) Nauka moralności.

ZGADYWANKA.

Na gałęzi w liści gąszcz
usiadł chrabąszcz przy . . . . . .
Jadły listek za listkiem,
a jak zjadły liście . . . .
to spadły na dół oba
kogutowi do . . . . . .

ZAGADKA ?

Niosą, niosą — nie wyniosą.
Miotą, miotą — nie wymiotą.
Pora przyjdzie —
samo wyjdzie.